ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 15. Lipca 1892. Nr. 14.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Nie może to być — odezwał się mężnie Jaksa. — Znają go od lat wielu wszyscy, ojcowie duchowni, ziemianie, ziemie naokół całe, pobożny jest, sprawiedliwy, cnotliwy. Był nieboszczykowi miłym, dobroczyńcą dla wielu, nikomu złym.

— Miłościwy panie, takiemu jak on mężowi, choćby obwinionym był, trzeba się dać wywieść i oczyścić!

— Milcz, ty! — zawołała Agnieszka coraz gniewniej. — Nie ty, młokosie jakiś, sędzią jesteś, ale pan twój, który ma prawo życia i śmierci, sądu i wyroku!

Władysław patrzał w ziemię zasępiony.

— Miłościwy książę, — ciągnął dalej Jaksa, zwracając się nie do Agnieszki, jakby jej słuchać nie chciał, ale do księcia samego, — miłościwy książę, błaha to jest poręka, ale ja głowę moją stawię ci za niego. Mało lichej głowy tej, jaką sumę naznaczycie w złocie czy srebrze, aby wolen był i niewinność swą mógł wywodzić, położę u nóg waszych.

Książę błysnął oczyma ku niemu, nie odpowiadając nic. Agnieszka, czując się przez niego pogardzoną, bo na nią ani patrzał, ani jej odpowiadał, zaczęła wołać:

— Miej się, ty młokosie, na baczności, abyś i głowy zuchwałej i twego złota a srebra nie stracił. Tyś jego wspólnik, jeśli go tak chcesz ratować, taki dobry, jak i on, i powinieneś iść do więzienia gnić, albo i gardła dać!

Jaksa teraz dopiero spokojne podniósł wejrzenie i wlepił oczy w niewiastę rozjadłą, która blasku źrenic tych znieść nie mogąc, w większy jeszcze gniew wpadła. Rzucała się i miotała na siedzeniu, odgrażając Markowi, który stał bynajmniej niewzruszony.

— Wiem to, miłościwa pani, — rzekł Jaksa, — że i głowę i mienie stawię, ujmując się za Petrka, ale mnie to najmniej nie ustrasza. Ażali nie lepiej życie dać, niż cnotę i sumienie? Błagam więc za tym, którego niewinnym sądzę, błagam ponownie i zaklinam was, nie maźcie się krwią męża cnotliwego!

— Panie! — zwrócił się ku Władysławowi. Książę się nagle nasrożył.

— Milcz! — krzyknął — milcz! nie chceszli dzielić losu jego!

— Milczeć nie mogę, — zawołał Jaksa — grzesznymbym był.

— Precz! precz! — począł szybko mówić Władysław nie tyle z gniewu, co z obawy, aby księżna nie uniosła się bardziej jeszcze i nie chciała mścić się na nim.

— Idź mi ztąd!

Dwóch dworzan na znak dany przez księcia, pochwyciło go pod ręce.

— Miłościwy książę — odezwał się raz jeszcze Jaksa, — gwałtem ztąd wyrzuconym być mogę, ale jakem był nieszczęściu wiernym, tak nim zostanę, i com rzekł, to głosić będę, póki siły mam. Petrek jest niewinny! Niewinny!

Agnieszkę gniew owładnął tak wielki, iż mówić nie mogła, gdy Jaksę za drzwi komnaty wyrzucono.

Jakiś czas cisza straszna panowała w izbie.

Na wszystkich przytomnych to śmiałe za Petrkiem ujęcie się wrażenie uczyniło ogromne, oprócz zajadłej księżnej. Chciała natychmiast kazać uwięzić Jaksę, obawiając się jego zuchwałej mowy, ale nim ochłonęła nieco i pomyślała o wydaniu rozkazu, stało się, że już obwinionego na zamku nie było.

Wszędzie są litościwe dusze, a nawet słabych wielka moc ducha podnosi. Ci, coby nigdy nie zdobyli się na męztwo stawania w obronie potępionego, gdy posłyszeli, jak Jaksa go mężnie bronił, poczuli dlań poszanowanie i litość i dopomogli mu, aby czemprędzej uszedł.

Tegoż wieczora, Agnieszka do księcia odezwała się rozkazująco, że nazajutrz do Wrocławia jechać byli powinni.

Książę posłyszawszy to, żachnął się niechętnie.

— Po co? — zawołał — co się ma dokonać, stanie się i bez nas!

— Ja, ja tam chcę być — krzyknęła księżna — nie wierzę nikomu, ty, ty jesteś miękki i dobroduszny. Ty, coś gotów uwolnić go jutro, a on na ciebie, na mnie zbójców naprowadzi. Ty mu darujesz, on ci nie przebaczy! Nie przeciw niemu mówię, ale za tobą, za sobą, za dziećmi... lękam się!

Książę leniwo począł się opierać jeździe do Wrocławia, ona słuchać go nie chciała.

— Wszystko jest już do tego gotowe, — wołała — jechać potrzeba, wydałam rozkazy w imieniu twojem, nie ścierpię, byś mi kłam zadał. Musisz jechać! tam poznasz sam, że inaczej nie można zrobić, tylko twoje życie ratując, jemu je wziąć. Gardło da! gardło! — powtarzała.

Książę, jak zwykle nie opierał się długo, na myśli miał może, iż w miejscu prędzej się rozstrzygnie sprawa i on Petrkowi życie ocalić potrafi, gdy bez niego, nie pytając zamordują więźnia.

Nie rzekł już nic.

Nazajutrz rano stały konie w podwórcach, cały orszak książęcy, Dobek na czele, dwór, wozy i ludzie w pogotowiu. Nie zważano na to nawet, że nagle odwilż przyszła, śniegi topniały, drogi się stały prawie nieprzebytemi. Agnieszka gnała nielitościwie, coprędzej chcąc być we Wrocławiu.

W podróży znowu zaczęła męża zagadywać o karę, jaką zdrajcę Palatyna spotkać miała.

Tak dręcząc go nieustannie, nim do Wrocławia dojechali, wymogła to na księciu, opierającym się długo wyrzeczeniu ostatniego słowa, iż Petrkowi odjąć każe wszystkie ziemie, majątki, skarby i cokolwiek miał, a wyżenie go precz na wygnanie wieczne.

Kara ta za niedowiedzione zbrodnie już i tak aż nadto mogła się wydać srogą, ale gdy książę odkrył się z myślą swoją, Agnieszka parsknęła śmiechem szyderskim i zelżywe rzuciła słowo. Nie mówiła już więcej nic, jechali do Wrocławia milczący.

Gdy orszak pański wjechał we wrota miejskie, książę i żona jego poznać mogli łatwo, że ich tu nie witano, jak dawniej bywało i jak panu przystało.

Nie wyjechał Biskup na spotkanie, choć mu zawczasu, przodem śląc, znać dano o pańskiem przybyciu, nie wyszły

z Opatem mnichy Ś. Wincentego, a gromady ludu stały tak groźne i milczące, jakby rachunku słuchać miały, co się z ich dobroczyńcą stało. Tak wśród ciszy jechali na gród, na który pilno było Agnieszce, aby pod nogami swojemi poczuła wroga, w mocy swej i ręku.

Tegoż wieczora, gdy książę od wieczerzy wstawszy, unikając rozmowy, szedł do izby swej osobnej, drogę mu zastąpiła Agnieszka. Z całej postawy jej, wejrzenia, twarzy widać było, iż tu się losy więźnia rozstrzygnąć miały. Drzała z niecierpliwości, chwytając Władysława za poły sukni.

— Słuchaj, — odezwała się — słuchaj! Ty mnie nie zbędziesz milczeniem, chcę wiedzieć, coś postanowił. Ja za krzywdę moją pomstę mieć muszę... Mówiłam ci, powtarzam, gardła chcę!

Książę Władysław stanąwszy, walczył z sobą długo, wyroku śmierci dać nie chciał.

— A jam rzekł i powtarzam, — odezwał się niewyraźnie — że mu życia nie wezmę. Ojciec mu wiele winien był, rycerz jest możny, zasłużony, choćby dziś winien był, litość mu należy. Nie wezmę życia, nie!

Ręką rzucił niecierpliwie, jakby się chciał uwolnić od niej.

— Ej! myśl, co powiesz, myśl, — odparła Agnieszka, — bo ty nie na niego, ale na siebie wyrok wydajesz, na mnie i na dzieci. Czci żony twej nawet bronić nie umiesz. Ej! myśl! zaważy twe słowo!

— Rzekłem! Co chcesz! razem to rzekł, nie będzie inaczej! — odezwał się Władysław.

— A ja ci mówię, że inaczej musi być — zawołała gwałtownie żona, — musi! bo ja cię znać nie chcę za męża! Idę precz.... zostawię cię. Zabieram dzieci... nie chcę cię znać!

— Tego nie uczynisz! — odezwał się powoli książę — nie!

— Uczynię to! przysięgam! uczynię, — krzyknęła Agnieszka — nie chcę za męża znać tego, który czci mojej nie pomści.

To mówiąc szarpnęła się gwałtownie jakby odchodzić chciała, a książę, który już u drzwi stał, zatrzymał się, patrząc na nią. Szła tak aż na drugi koniec komnaty, włosy puściwszy na ramiona, z głową podniesioną dumnie, obrażona, gniewem dysząca.

— Tak jest, pójdę! Jutro mnie tu nie będzie! Nie chcę żyć z tobą, a jeżeli ty zginiesz marnie, nie ja po niedołężnym, bo słabym płakać będę. Ty! cobyś ty poradził bezemnie? Siedziałbyś na jednym Krakowie, na łasce u braci, trzykroć od ciebie silniejszych. Giń!

Odwróciła się.

— Agnieszko — zawołał książę — ty tego nie uczynisz, co mówisz, a ja tego, czego chcesz! Krwi jego na sumieniu mieć nie chcę! Cień ojca prosi za nim, sny miałem.

— Przecie ojciec twój zabić kazał rodzonego brata Zbigniewa, a ten, ten gorszym od niego jest zdrajcą.

Dysząc padła na ławę księżna. Książę stał, pot ocierając z czoła. Zaszeleściało coś u drzwi, na które księżna zwróciła oczy, czuła bowiem i wiedziała, kto nadchodził. Książę cofać się zaczął ku drugiemu wyjściu, wtem Dobek się wsunął i wprost zbliżył do księcia samego, z pewnym rodzajem poufałości i lekceważenia podchodząc ku niemu.

— Przyszły języki z Płocka, — rzekł — Biskupi się tam na Miłość Waszą kojarzyli z książętami i rady były wielkie. Jednego im tam tylko Petrka brak było wielki, czekali nań i wyglądali, a że się on nie stawił, wszystko na niczem spełzło...

Teraz go tylko, choć boso, puścić żywcem, da sobie radę! jak kot, co zawsze na nogi upada. O tak! jego im tylko brak, możeby go Wasza Miłość puścić dała? Będą młodzi książęta wdzięczni! Za nic i panowie duchowni wszyscy, gdy głowy i wodza niema; to jedyny człek dla nich!

Księżna potakując głośno się śmiać zaczęła.

— Mówno, mów, — odezwała się — książę pan tak go miłuje, że chce ko-

niecznie, tej żmii życie ocalić, a póki w bestyi tej tchu stanie, kąsać będzie!

Zerwała się z ławy.

— Mów, mówże, — powtórzyła — niechaj go puści! Niechaj razem i mnie puści, bo ja tu dłużej oplwana mieszkać nie będę... Jutro na Niemcy pojadę, dziś, jak tylko go wypuszczą żywym, mnie tu niema.

Władysław obrócił się nasępiony ku żonie, popatrzał i nie chcąc nic mówić przy Dobku, podniósł zasłonę, drzwi odemknął, wyszedł. Powlokła za nim oczyma gniewnemi Agnieszka, podniosła pięści, potem załamawszy ręce, siadła na ławie rozdąsana aż do łez prawie.

Zbliżył się Dobek.

Na widok jego księżna wskazała drzwi, któremi mąż jej wyszedł.

— Nie mogłam go przemódz! Zacięty jest w tem! życia mu wziąć nie chce. Groziłam, nadaremnie. Nie chce!

— Jak go ztąd wypuszczą żywcem, — odezwał się Dobek — to my swojego życia nie będziemy pewni. Nie dziś, to jutro, otworzy mu się gęba, ma przyjaciół dosyć. Mnichy się krzątają i biegają, szepczą, znoszą się. Mnie już ofiarowano okup, byle mu ocalić życie.

— Ocalić mu życie! ty! — zawołała Agnieszka. — Ty! Ani mi się waż mówić o tem. Bierz okup, ale go bronić? nie śmiej!

Podniosła rękę.

— On musi umrzeć!

Nazajutrz dzień się robił zaledwie, książę Władysław wstawał z posłania, aby rannej mszy wysłuchać w kaplicy, gdy Dobek nadbiegł, oznajmując mu, że ks. Janik Biskup zgłosił się, chcąc przybyć do księcia z pokłonem.

Biskupowi nikt drzwi zamknąć nie śmiał. Agnieszka czekała gniewna na przyjazd ks. Janika, postanowiła na krok nie odstępować męża. Poszła z nim razem do kaplicy, a gdy się msza św. skończyła i do komnat powracali, dano znać o Biskupie. Książę lubił go dosyć, oba równo myśliwymi byli, z nim się jakoś Władysław lepiej niż z innymi duchownymi rozumiał i mógł rozmówić. Dawniej byli z sobą poufale, teraz zmieniło się wielce położenie. Każdy Biskup trwożył księcia, wiedział, że wszystkich ich mieć będzie przeciwko sobie.

Według zwyczaju jednak wyszedł do progu przeciw niemu.

Ks. Janik z postawą rycerską, mężnie, z czołem pogodnem wszedł do komnaty, zasiadł obok książęcia, spytał o coś obojętnego, obejrzał się do koła, nie rozpoczynał ważniejszej rozmowy.

Księżna Agnieszka siedziała na straży, Biskup rachował na to, że odejdzie, pytał o małe rzeczy, mówił niewiele, oczyma rzucał ku pani, która odchodzić nie myślała.

Trwało to może pół godziny, ks. Janik wreszcie, okiem znów na niewiastę rzuciwszy, odezwał się.

— Nie chcę kryć tego dłużej, żem Miłości Waszej przybył w sprawie mojego powinowatego. Nie wiem, czem Petrek zawinił tak wielce? Wszyscy zdumiewamy się, aby mąż, co stał tak wysoko, mógł nagle, bez jawnej przyczyny i sądu, być strąconym tak nizko? Cóż uczynił?

Agnieszka ledwie mogąc powściągnąć się, usta zakąsając, milczała; książę Władysław począł:

— Czem zawinił? Zuchwałym był! oszczercą był, zdrajcą... Kto ze mną nie idzie i nie trzyma, ten mi wrogiem.

— Miłościwy książę, — rzekł Biskup, — zawsześmy wiernie trzymali z tobą, póki wy trzymaliście z prawem i wolą nieboszczyka króla.

— Co? co? — podchwycił książę burząc się. — Ja tu panem być muszę, ja, nie kto! Ja, sam! Petrek przeciw mnie szedł i zmowy czynił.

— Miłościwy panie, — odparł Janik — nie stanie więzień i stróżów, jeśli zechcecie wszystkich imać, co trzymają z wolą nieboszczyka pana, dla własnego dobra waszego...

— Ha! — porwała się, nie mogąc wytrzymać księżna, — kaci opróżnią więzienia. Ziemia głęboka jest, znajdzie się gdzie chować zdrajców!

Ks. Janik wysłuchał, ale nie odpowiedział nic, zwrócił się do księcia.



NA SŁOŃCU. (Obacz wiersz na str. 214).

— Nie może to być, — dodał — abyście chcieli życie temu wydzierać, którego ziemie nasze miłują i szanują jak ojca!

Wstał Pasterz uroczystą przybierając postawę.

— Miłościwy książę! krwi tej nie bierzcie na sumienie wasze!

Książę podniósł się natychmiast i nie patrząc na żonę, rzekł żywo:

— Nie lękajcie się o to, życia mu nie wezmę, nie, ale karę słuszną domierzoną mieć musi.

Biskup odetchnął lżej.

— Bądźcie litościwym, — ciągnął dalej, — abyście sami litości doznali, gdy jej w życiu potrzebować będziecie. Któż tak mocen jest, aby pewien był, iż na nim nie zacięży prawica Boża? Sądy wszechmocnego zakryte, a miarą tą mierzy Sędzia, jaką mierzył Sądzący.

Gdy to mówił, z męzkich oczów Biskupa pociekły łzy, których wstrzymać nie mógł. Objaw ten uczucia i słabości razem zmięszał jego samego, popatrzał milczący na ziemię i otarłszy oczy, nie mówiąc słowa, nie podniósłszy ręki do błogosławieństwa, wyszedł z izby powolnym krokiem.

Książę idąc za nim ze spuszczoną głową, towarzyszył mu aż do progu, ale Biskup nie odwrócił się już, nie żegnał, nie patrzał i ocierał tylko łzy z oczów płynące. Siadł na konia u drzwi i zawrócił do domu.

Agnieszka przyskoczyła do powracającego męża.

— Coś ty rzekł? coś rzekł! Mówisz, że mu życia nie weźmiesz!

— Nie wezmę! nie! nie! — zawołał książę głosem silnym — a gdybyś mi stokroć oddaleniem groziła, powtórzę, nie wezmę! gdybyś jechała zaraz, nie wezmę!

Nigdy go tak silnym w sobie nie widziała żona, cofnęła się nieco, bo ją strwożył.

Książę stał poruszony i drżący, jak człek słaby, który się na coś stanowczego odważył.

— Chcesz krwi! — wołał. — Naposiadłaś się na krew jego! Oczy mu wyłupić... wygnać go! zubożyć go, ale gardła jego kto tknie, przysięgam, sam je da!

Chciwie słuchała Agnieszka i po za księciem u drzwi stojący Dobek. Czekał skinienia tylko.

— Słyszałeś wyrok pański? — zawołała ze śmiechem szyderskim — spełnij go. Reszta potem!

Dobek za zasłoną zniknął.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA SŁOŃCU.

Jasno na świecie:
Używaj dziecię
Słonka i lat twej młodości;
Bo słonko zgaśnie
I młodość zaśnie —
A wstanie zima starości.

Młodość nie wróci,
Gdy raz porzuci —
Żadna jej prośba nie wzruszy.
Na lata stare,
Zachowaj wiarę —
W ciepło i w młodość twej duszy,

Och! bo promienne,
Niby wiosenne,
Bywają ranki zimowe,
Gdy nie wystudzi
Serca dla ludzi —
Śron, co osrebrza nam głowę.

UMARLI DLA ŚWIATA.

(Z 4 obrazkami.)

Zakon Trapistów istnieje od 1122 r., założony w Burgundyi przez Św. Alberyka; zreformował go Dominik Armand Leboutillier de Rancé, którego losy były tak dziwne, że warto poświęcić im słów kilka. Potomek jednej z najstarożytniejszych rodzin francuskich, dziedzic wielkiego imienia i wielkiej fortuny, chrzestny syn kardynała Richelieu, od dziecka odznaczał się nadzwyczajnemi zdolnościami. Trzynastoletnie chłopię tłumaczyło z greckiego pieśni i wprawiało w kłopot uczonych mężów swemi pytaniami. Obdarzony prócz tego niepospolitą urodą i ujmującym wdziękiem obejścia, pozyskał szczególne łaski królowej Maryi Medycejskiej i wybitne zajął stanowisko na świetnym wówczas dworze francuskim. Strojny w atłasy, koronki i aksamity, błyszczący od złotych haftów i drogich kamieni, przesuwał się przez salony paryzkie niby świetna gwiazda, za którą goniły spojrzenia miłości, uwielbienia i zawiści.

Naraz stał się poważniejszym, tryb życia odmienił i postanowił zostać księdzem. Wyświęcony został w r. 1651. Lecz jeszcze nie zerwał całkiem ze światem.

Nagle pękła jakaś struna w jego życiu i człowiek ten, w kwiecie wieku męzkiego, w pełni powodzenia, umarł dla świata. Nieprzenikniona tajemnica osłania tę gwałtowną zmianę; wiadomo tylko tyle, że w r. 1664 Dominik de Rancé opuścił Paryż i zamknął się w opactwie La Trappe w Normandyi, otrzymanem niegdyś od ojca chrzestnego, kardynała Richelieu. Zastał tam jedynie siedmiu mnichów i poprawił zupełnie ich regułę, wyłożywszy swoje zasady w osobnej książce pod tytułem: »O obowiązkach zakonników.« Nie bez trudności mu to przyszło, gdyż owi zakonnicy przywykli żyć po światowemu i niechętnie poddali się reformie, która surowością przepisów przypominała sposób życia pierwszych pustelników. Główne zasady tej reguły, ściśle dotąd przez Trapistów zachowywanej, są następujące:

Zarówno latem jak zimą, o drugiej godzinie w nocy wielki dzwon klasztorny budzi zakonników; ubranie nie zabiera im wiele czasu, każdy z nich bowiem śpi w habicie, z kapturem nasuniętym na głowę; wstając, odrzuca tylko kaptur. Wszyscy wychodzą razem z dormitoryum, wielkiej sali, gdzie każdy ma osobną izdebkę, i w milczeniu idą do kościoła. Tam przez dwie godziny śpiewają jutrznie i modlą się, a następnie odprawiają Mszę Świętą. O szóstej



Na cmentarzu.



Trapiści przy pługu.

wszyscy idą do pracy, która kończy się dopiero o szóstej wieczorem. Około południa spożywają pierwszy i jedyny posiłek dzienny, złożony z jarzyn, chleba, mleka i owoców; mięso i ryby nigdy nie ukazują się na stole, jedynie w uroczyste święta dostają po kawałku sera. Ciężka praca należy do obowiązków każdego trapisty; trwa ona cały dzień bez przerwy, z wyjątkiem pół godziny przeznaczonej na posiłek. Czytanie książek duchownej treści jest jedyną dozwoloną rozrywką. O szóstej wieczorem wszyscy zbierają się w kościele i modlą się aż do siódmej, poczem idą na spoczynek. Mylne jest mniemanie, jakoby sypiali na desce z kamieniem pod głową, każdy z nich ma kołdrę, materac i poduszkę.

Biczowanie nie należy do obowiązkowych umartwień ciała, lecz stanowi dobrowolną pokutę. Na to jest przeznaczona wieczorna godzina: każdy wchodzi do swojej izby, spuszcza zasłonę i obnażywszy plecy, chłoszcze się na dany znak dyscypliną ze sznurów opatrzonych węzłami, mocniej lub słabiej, stósownie do chęci. Trapiści nie myją się rano, lecz co tydzień biorą kąpiel; wszyscy zapuszczają brodę i noszą włosy krótko ostrzyżone. Raz na tydzień jeden z braciszków, co tydzień inny, strzyże cały zakon. Habit z grubej, wełnianej tkaniny jest biały dla wyświęconych zakonników, brunatny dla nowicyuszów. Służy on także za całun grobowy, każdego bowiem trapistę kładą bez trumny w mogiłę, którą sam musi sobie za życia wykopać.



Z dormitoryum do świątyni.

Najcięższem umartwieniem jest wstawanie o drugiej w nocy; nawet tym, którzy czterdzieści lat spędzili w klasztorze trudno się do tego przyzwyczaić. Mają oni wprawdzie siedm godzin snu, ale praca jest tak ciężka, a posiłek, przyjmowany dopiero w dziesięć godzin po przebudzeniu, tak niedostateczny, że każdy Trapista przez cały dzień ze snem walczyć musi.

Są oni odosobnieni od świata, jak gdyby żyli w głębi niedostępnych puszcz; żaden odgłos z zewnątrz do nich nie dochodzi. Reguła nakazuje im najgłębsze milczenie; z wyjątkiem spowiedzi, śpiewu i modłów w kościele, oraz słów »Memento mori« (pamiętaj o śmierci) przy powitaniu, nie wolno im mówić bez pozwolenia opata; przy pracy porozumiewają się najczęściej za pomocą znaków takich samych, jakich używają głuchoniemi. Jednemu tylko opatowi wolno mówić, kiedy i ile zechce; zakonnicy, którzy muszą mieć styczność z ludźmi świeckimi, obowiązani są wyrażać się jak najzwięźlej. Głucha cisza, panująca w klasztorze, sprawia przygnębiające wrażenie na obcych ludziach, przywykłych do hałasu i gadatliwości światowej. Białe postacie zakonników przesuwają się bez szelestu, do duchów podobne, głosu ludzkiego nikt tu nie usłyszy, chyba szczekanie psa lub świergot ptaków przerwie grobowe milczenie.

Nowicyusz wstępujący do zakonu wyrzeka się nietylko świata, ale i wszelkich uczuć rodzinnych; o śmierci najbliższych nikt go nawet nie zawiadamia. Jeżeli cierpi, bracia jego nie powinni się

tego domyślać; jeżeli jest chory, nie powinien okazywać obawy, lecz czekać spokojnie ostatniej chwili, kiedy rozsypią mu popiołu na podłogę, a na to położą cienką warstwę słomy. Na tem twardem posłaniu ledz musi umierający Trapista; ztamtąd bracia zanoszą go do grobu, który własnemi wykopał rękoma. Wstępując do klasztoru, ślubuje on czystość, ubóstwo, pracę, pokorę, milczenie, posłuszeństwo, samotność i pokutę, a najmniejsze przekroczenia reguły okupuje ciężkiemi umartwieniami ciała.

Tak chciał założyciel zakonu, Dominik de Rancé, a przykład jego pociągnął w lesiste ustronie Normandyi wiele dusz znękanych i grzesznych, które poznawszy znikomość świata i jego uciech, postanowiły wyrzec go się na zawsze i myśleć tylko o zbawieniu własnem. Rancé umarł w roku 1700; wierny do ostatniej chwili regule przez siebie ustanowionej, skonał na warstwie popiołu, rozpostartej w kształcie krzyża. Przez sto lat blizko dzieło jego przetrwało bez zmiany, aż przyszła rewolucya francuska i zakonnicy musieli uciekać z opactwa, zamienionego na odlewnią dział. Rozproszeni po świecie, założyli klasztory w Buona-Solasso koło Florencyi, pod Dysseldorfem, w Jalsainte w Szwajcaryi, w Rzymie, w Hiszpanii, a nawet w Ameryce i Afryce, dokąd zawędrowało kilkunastu braci. Po nastaniu spokojniejszych czasów powróciło wielu do ojczyzny, inni pozostali na obczyźnie.

Ktokolwiek przyjrzy się z blizka życiu Trapistów, przejęty jest i rozrzewniony do głębi ich pokorą, spokojem i pracowitością. Modlitwa i praca — oto całodzienne ich zajęcie; lenistwo nie wnosi do ich celi żalu za światem; na żal nie mają czasu. Każdy zakonnik, bez względu na ród swój i stanowisko, jakie niegdyś zajmował, obowiązany jest spełniać na rozkaz opata najniższe i najcięższe posługi. Cały gmach klasztorny z korytarzami i celami utrzymywany jest przez braci we wzorowym porządku i czystości. Są trzy oddzielne kuchnie: jedna dla gości, druga dla chorych, trzecia dla zakonników; gotowaniem zajmują się sami Trapiści. Są także rozmaite warsztaty, starczące na potrzeby klasztoru; jedni zakonnicy trudnią się szewstwem, inni rymarstwem, ci są kowalami, tamci cieślami, a jeden z nich zawiaduje apteką.

Wszystkie stany i narody mają tu swoich przedstawicieli: osiwiały mnich, zajęty w kuchni skrobaniem ziemniaków, był niegdyś pierwszym tenorem w paryzkiej operze; obok prostego górnika kopie na jednym zagonie syn książęcej rodziny; barczysty zakonnik o żylastych ramionach z potężnym młotem w ręku, pochodzi z rodziny irlandzkich landlordów; wysmukły młodzieniec z jasną brodą, który gościom usługuje do stołu, zajmował niegdyś wysokie stanowisko w armii austryackiej. Tu wszyscy oni są sobie równi. Każdemu, kto pragnie wstąpić do klasztoru, opat przedstawia wszystkie obowiązki i trudy, jakie go czekają; dopiero po skończeniu nowicyatu zostaje przyjęty do zgromadzenia.

Wzruszającem jest nabożeństwo wieczorne w kościele OO. Trapistów. Nic prócz krucyfiksu nie zdobi ciemnych murów świątyni, tylko przed ołtarzem płonie ciągle jedna purpurowa lampa. Wśród mroku zaledwie rozeznać można



Trapista w celi.

dwa szeregi mnichów biało ubranych, którzy wsuwają się cicho bez szelestu, jak cienie. Nagle pod sklepieniem rozbrzmiewa śpiew pełen smutku; płynie on zwolna, harmonijnie, raz kona w cichym szepcie, to znów błagalnie podnosi się ku niebu... Wtem milkną wszystkie głosy, z grona białych postaci wysuwa się zakonnik i ujmuje za sznur od wielkiego dzwonu. Dźwięk spiżowy napełnia świątynię, a długi szereg mnichów wolnym krokiem ją opuszcza.

W opactwie Fontgombaud we Francyi, jednem z najstarożytniejszych, choć kilkakrotnie burzonem to przez Anglików, to przez Hugonotów, to wreszcie przez rewolucyonistów, wielki zakład poprawczy dla chłopców znajduje się pod opieką i kierownictwem OO. Trapistów. Trudno zliczyć dobrodziejstwa, jakich okolica doznała od tych dobrowolnych wygnańców ze świata: nietylko wspierają oni nędzarzy, pielęgnują chorych, podnoszą upadłych moralnie, ale dzięki im rozwinęło się tu rolnictwo i sadownictwo, a przykład pracowitości, cierpliwości i posłuszeństwa na całą ludność oddziaływa.

Umarli dla świata temuż światu dają pogodę i moc ducha, pracują dla tych, od których nic nie wymagają — prócz zapomnienia.

CO MI SIĘ WYDARZYŁO W INDYACH.

Podczas mego pobytu w Indyach używałem wszelkiego czasu wolnego od zajęć do wycieczek w góry. Powietrze było wtedy w sam raz ciepłe, właśnie takie, że zawsze już zupełnie lekko ubrany chodzić mogłem. Nie zabierałem nigdy ze sobą żadnego tłomoczka, gdyż tak urządzałem wycieczki, że wszędzie dostać mogłem, czegom potrzebował, a nawet najmniejszej broni nie nosiłem przy sobie, bo w rzeczy samej żadne mi tam niebezpieczeństwo nie groziło. Z lekkim kijem bambusowym w ręku zapuszczałem się całemi godzinami w góry okoliczne, w których codzień prawie odnajdywałem nowe piękności przyrody.

Pewnego dnia doszedłem na wysokości 1200 metrów po nad poziom morza do drogi, która wraz z swem otoczeniem żywo mi przypomniała pewien krajobraz, jaki widziałem w Alpach. Droga ta dość stroma wiła się między skałami, a była tak kunsztownie zbudowana, żem się podobnej w tych okolicach i na tej wysokości wcale nie spodziewał. Tu i owdzie była ona dość szeroka, niekiedy jednak zdarzały się przestrzenie, chociaż nie długie, które widocznie z wielkim mozołem w skałach wykute, z jednej strony groźno się po nad nią zwieszały, podczas kiedy z drugiej straszne przepaści, na setki metrów głębokie, zdolne były zawrócić głowę ludziom nie posiadającym potrzebnej w takich razach zimnej krwi. Ale i o tem pomyśleli budujący drogę, gdyż właśnie z tej strony ustanowiony był wzdłuż drogi mur kamienny, mniej piękny, ale za to mocny, a o to zapewne im najwięcej chodziło.

Mimowoli podziwiałem staranność i wytrwałość, z jaką ciężkie skały poustawiano i pospojano w jedną całość. Wał ten, od kilkudziesięciu a może i kilkuset lat wystawiony na wpływy powietrza, porósł szarawo-zielonym mchem a wszędzie prawie jeszcze zdawał się tak silnym i niewzruszonym, jak na początku swego istnienia; zaledwie tu i owdzie widzieć było można, że go poprawiano.

Pełen wesołej myśli i ciekawy końca i celu drogi szedłem dalej drogą, zachwycając się pięknością otaczającej mnie przyrody, oczarowany niewidzianymi nigdy przedtem widokami.

Nagle stanąłem jak skamieniały. Skręcając na jednym z licznych zakrętów drogi, którego dalszy ciąg zasłaniała mi stercząca skała, ujrzałym na samym środ-

ku drogi — tygrysa! Zupełnie wyrośnięty zwierz ten, ze skórą pięknie i wyraziście się w słońcu mieniącą, powoli szedł drogą ku mnie, a zobaczywszy mnie, przystanął i wlepił we mnie swe iskrzące, straszne ślepie. Stałem jak porażony, dreszcz zgrozy przejął mnie do szpiku kości. — Kto, jak ja, setki razy doświadczył w ojczyźnie tygrysów, jak strasznem, okrutnem i niebezpiecznem jest to zwierzę drapieżne, ten łatwo pojmie moje przerażenie, tem więcej, że spotkanie nastąpiło tak zupełnie niespodziewanie. Na bagnistych, gęstą trzciną porosłych wybrzeżach rzecznych można w całych Indyach napotkać tygrysów, ale jakim sposobem dostał się on w góry gołe zresztą i tylko tu i owdzie porośnięte krzakami? Znajduje się w górach tych wprawdzie wielka ilość dla człowieka prawie niedostępnych pieczar i rozpadlin, nigdy jednakowoż dotąd nie słyszałem, żeby się w nich tygrysy chowały, i zapewnie jeszcze żaden myśliwy nie spotykał tygrysów na płaszczyznach górzystych. A właśnie to niezwyczajne, niesłyszane zjawienie się jego, gdziem go się nigdy nie spodziewał, napełniło mnie trwogą i drżeniem, pomąciło mi w pierwszej chwili myśli, — byłem po prostu bezradny. Nie posiadałem przy sobie niczego, oprócz małego nożyka. Kij bambusowy, który dzierżyłem w ręku, nieznacznie upuściłem na ziemię, bo mógłby łatwo okrutnika podraźnić, a pomódz tak mi nie mógł.

Skoro przystanąłem, tygrys usiadł na środki drogi i wytrzeszczył na mnie oczy, jak ja na niego. Szczęki jego poruszały się, jak gdyby ciało moje już kąsał swymi kłami ostrymi, które mu błyszczały w paszczy. Czułem, że byłem stracony i zgubiony z kretesem, w wyobraźni wystawiałem sobie — okropność! — śmierć, jaka mi w tej chwili groziła. Myśli tłoczyły się bezładnie do głowy, chwila tylko jeszcze — a potwór bezlitośny rzuci się ku mnie i jednem uderzeniem swej ogromnej łapy powali mnie o ziemię i roztrzaska mi czaszkę. Gdyby jeszcze, — gdyby przynajmniej mnie uderzeniem od razu zabił, a nie wydzierał z mego żywego ciała kawał po kawale, ażbym wśród męczarni tych skonał! Na myśl tę włosy mi na głowie powstały. Być pożartym przez tygrysa w ten sposób, — aby opisać ten ból, to chyba żadna mowa ludzka nie zdolna. Gdybym miał strzelbę przynajmniej, broniłbym się do ostatka, może rozjuszone zwierzę prędzejby mnie zabiło.

Wtem tygrys zupełnie jak kot zamachnął ogonem, powstał i zaczął się zbliżać do mnie. W niemem osłupieniu cofnąłem się aż do wału. Dalej cofać już się nie mogłem. Gdybym zaś miał się rzeczywiście zdecydować i skoczyć po za wał w przepaść, której jeszcze w tem miejscu nie zmierzyłem oczyma, to pewny byłem, że przy najmniejszem poruszeniu byłby się tygrys na mnie rzucił. Jest to bowiem właściwością wszystkich drapieżnych zwierząt, że się rzucają na ofiarę w chwili, gdy ta jakie poruszenie czyni; przypuszczają zapewne instynktowo, że ofiara zamierza ratować się ucieczką. Wobec człowieka zdarza się to mianowicie wtedy, kiedy się obróci tyłem do żarłocznej bestyi; oko ludzkie bowiem i na zwierzę najdziksze wielki wpływ wywiera.

Skoro doszedłem do wału kamiennego i na nim się oparłem, tygrys znowu usiadł na kilka kroków przedemną. Nie spuściliśmy przez ten czas oka z siebie ani na chwilę. Im dłużej tak stałem, tem wyraźniej uczuwałem, jak leniwie krew w mych żyłach krążyła; było mi zimno; ręce i nogi zdawały się powoli obumierać, tylko serce biło jeszcze głośniej niż zwykle.

Rzecz przedłużała się i nie można było przewidzieć, kiedy i jak się skończy. Żeby się przynajmniej było co wydarzyło, coby położenie moje w czembądź zmieniło, żeby się ot tak zjawił jaki człowiek, ptak lub jakie zwierzę, ale nic.... nic....

Od czasu do czasu uderzał tygrys ogonem o ziemię, zwilżając swym długim, czerwonym językiem kiedy niekiedy swe wargi. Dla czegoż zwłóczył on to, co prędzej lub później niechybnie nastąpić musiało? Czyż to mu sprawiało

przyjemność, że mógł się napawać mojem przerażeniem, mą trwogą? Lub czy był jeszcze syty i zamierzał mnie zachować w swej mocy, ażby znowu uczuł głód? Wściekłość rozpaczliwa opanowała mnie na myśl, że nic, zgoła nic uczynić nie byłem zdolny wobec drapieżnego zwierza, który z wytrwałością pewną zwycięztwa czychał na swą zdobycz. Co chwilę inne myśli przychodziły mi do głowy, ale same czarne tylko, bo każda z nich kończyła się pewnością mej zguby. Im dłużej zaś spoglądałem na tygrysa, tem więcej mięszały się moje wiadomości o naturze tygrysiej. Dotąd wiedziałem, że tygrys nie ma sobie równego co do krwiożerczości stworzenia, że on, nie tak jak wspaniały lew, napada bez namysłu na ofiarę, chociaż jest zupełnie syty, ażeby tylko zaspokoić nienasyconą nigdy żądze mordowania. A ten przedemną, — jakiż to osobliwy był okaz tygrysa, że mnie jeszcze dotąd nie rozszarpał! Co się jednak nie stało jeszcze, mogło każdej chwili nastąpić. Gdybym miał chociaż płaszcz, rzuciłbym go tygrysowi na łeb, możeby mi się tymczasem udało uciec!

Czyż doprawdy nie miałem żadnej drogi wyjścia, żadnego sposobu ocalenia? Żebym to ja był Herkulesem, byłbym podniósł jeden z ciężkich kamieni i byłbym zwierzęciu nielitościwemu nim łeb roztrzaskał! Lub gdybym był Samsonem! Chciwie szukałem w około okiem, spojrzałem nawet na upuszczony kijek bambusowy, przetrząsłem powoli kieszenie bezwiednie, bo cóżem mógł w nich znaleść stósownego do obrony? Wreszcie znalazłem! Znalazłem drobną na pozór rzecz, a jednak — W kilku sekundach musiało się teraz rozstrzygnąć: albo byłem ocalony, albo —

W kieszeni surduta znalazłem tutkę papierową, a tutka ta była pełną pieprzu, mełtego drobnego pieprzu. W strachu zgoła zapomniałem, żem miał przy sobie pieprz, który w dzień ten przy sposobności w mieście zakupiłem i po powrocie z wycieczki oddać miałem do wspólnej naszej kuchni żołnierskiej. Pieprzu tego miałem cały funt. Ot gdybym tak pieprz ten tygrysowi w ślepie cisnął? Co będzie, to będzie, pocóż dłużej zwlekać, kiedy dobrowolnie drapieżnik i tak mnie z swych szpon nie wypuści? Myśl ta uniosła mnie tak, żem natychmiast ją wykonać postanowił.

Nie zmieniając w niczem raz przybranej postawy, zanurzyłem ostrożnie rękę w kieszeni, wydobyłem tutkę i otworzyłem. Ręce moje drżały jak w febrze. Tutka widocznie zaciekawiła go mocno.

Prędzej niż opowiedzieć zdołam, dokonałem zamierzonego czynu. Błyskawicznym ruchem uniósłszy rękę, wysypałem całą zawartość tutki na łeb tygrysowi. W pierwszej chwili utworzył się tuman kurzu pomiędzy mną a nim. On zaczął sapać i kichać, skłoniwszy łeb ku ziemi i łapą sobie ocierając oczy i nozdrza. Na ziemi jednak leżał także pieprz, im więcej więc tygrys łeb schylał, tem częstsze i silniejsze następywało kichanie.

W tej chwili zwierz tak był sobą wyłącznie zajęty, że zupełnie zdawał się o mnie nie pamiętać. Teraz należało działać — teraz lub nigdy. Otrząsnąłem się z odrętwienia, które mi dotąd zapierało piersi, i z oczyma wciąż w tygrysa wlepionemi zacząłem uciekać.

Tygrys nie pobiegł za mną. Niepostrzeżony przez niego zdołałem szczęśliwie cofnąć się po za skałę sterczącą na zakręcie, a potem już leciałem z całych sił w karkołomnych podskokach z góry na dół, jak nigdy przedtem ni potem. Pół godziny biegłem tak, aż wreszkie skutkiem początkowego przestrachu, a potem i wytężenia nogi się podemną uginać zaczęły, zabrakło oddechu. Potem skąpany, przebyłem resztę drogi już zupełnie powoli, zanim dostałem się w okolice zamieszkałe i mogłem swobodnie odetchnąć.

Byłem ocalony!

Przyszedłszy wreszcie do swoich, wśród ogólnej ciszy opowiedziałem, co mi się właśnie wydarzyło.

Nie na tem jednak koniec mego opowiadania.

Dwudziestu do trzydziestu oficerów naszego pułku postanowiło, skoro się

tylko da, zrobić na tygrysa obławę. Wtem podczas naszych przygotowań zgłasza się do nas żołnierz naszego pułku, krajowiec, rodem z Burmy, i donosi nam następną nowinę: Książę Amaru ma mieć w górach tamtejszych zamek przepyszny, w którym, zupełnie się od świata usunąwszy, resztę swego życia przepędza. Książę ten posiada dwa obłaskawione tygrysy, które mu jak psy wszędzie towarzyszą i strzegą wejścia do pałacu. Kto się do tego pałacu zbliży, niechybnie prawie tygrysa napotkać musi, gdyż nader często widzieć je można na drodze, która jedynie do zamku prowadzi.

Tygrys więc, którego ja spotkałem, był obłaskawiony. Było to dla mnie, otwarcie powiedziawszy, pewnem rozczarowaniem.

Oficerowie jednak raz podjętego zamiaru zaniechać nie chcieli. W dwa dni po wydarzeniu powyżej opisanym liczną gromadą wyszedłszy na polowanie, mieli to szczęście spotkać go i ubić. Drugiego tygrysa odtąd nikt już więcej nie ujrzał. Stary i dziwaczny, na świat i ludzi zagniewany książę jeszcze się szczelniej zamknął przed światem, a w obawie, żeby mu drugiego ulubieńca nie zabito, nie wypuszczał go po za wrota parkanu.

Wiele potem jeszcze przeżyłem i doświadczyłem, widziałem i słyszałem, — nigdy jednak, dopóki żyć będę, nie zapomnę, co mi się wydarzyło w Indyach.

O CIEPLE.

Działanie ciepła na ciała płynne, i rozmaite stąd użytki.

Doświadczenie. Gdy szklankę z wodą postawimy nad palącą się lampką spirytusową, pokazują się w wodzie najprzód małe bąbelki, które się wzbijają na powierzchnią i nawet nad nią w górę pryskają. Są to bąbelki powietrza znajdującego się w wodzie. Im bardziej płyn się rozgrzewa, tem więcej bąbelków wychodzi na wierzch, gdyż dolny pokład wody rozgrzewa się także, a gorąca woda zamienia się w parę w kształcie kropelek. Para ta natrafia na zimniejszy pokład wody i zamienia się także znów w wodę, oddając swe ciepło wodzie zimniejszej. Tym sposobem nowe kropelki pary mogą się znów posuwać wyżej, gdzie znów znikają, rozgrzewając wodę, aż wszystka nabierze równego stopnia ciepła, a kropelki pary, którego ciągle się mnożą, nie natrafiając nigdzie na zimno, posuwają się aż do samej góry i uchodzą w powietrze. Górny pokład wody jest zawsze zimniejszy niż dolny, a zatem jest też i cięższy, a ztąd górny ten pokład spada na dół, dolny — jako lżejszy — występuje do góry, oddaje swe ciepło powietrzu, oziębia się i spada znów na dół. To przewracanie się wody powtarza się tak długo, aż woda nie zamieni się wszystka w parę. Całą tę czynność nazywamy gotowaniem się.

Gotująca się woda nie może dojść do więcej stopni ciepła, jak do 80-ciu, podług ciepłomierza (termometru) Reaumura, gdyż bardziej rozgrzana, wszystka przemienia się w parę i ulatuje. Jeżeli zaś chcemy, żeby woda nad 80 stopni się rozgrzała, wtedy trzeba nam naczynie z gotującą się wodą przykryć tak szczelnie, aby para w powietrze ujść nie mogła. W przykrytem naczyniu przeszkadza oprócz tego gwałtownemu gotowaniu się pokład powietrza znajdujący się pomiędzy wodą a pokrywką. Przy dobrze nakrytem naczyniu dochodzi woda do tego stopnia gorąca, że najgrubsze kości na miazgę się w niej rozgotują.

Gotowanie jest więc przewracaniem się wody przez tworzącą się w niej parę. Jak tłoczenie powietrza przeszkadza gotowaniu, tak znów odwrotnie każdy płyn

musi tem prędzej się gotować, im mniej powietrze na niego tłoczy. Tak wiadomo, iż na górach prędzej się woda gotuje, niż w dolinach, gdyż na górach, jak to już wyżej powiedzieliśmy, powietrze jest lżejsze, niż w dolinach. Na górze Montblanc, w Sabaudyi, która ma przeszło 14,000 stóp wysokości, gotuje się woda już przy 50 stopniach ciepła; na wyżynie Quito, w Ameryce Południowej, gotuje się woda przy 72 stopniach Reumura.*)

Ulatnianie się.

Płyn przemienia się w parę, nietylko przy wysokim stopniu ciepła przez gotowanie, ale i przy małym stopniu ciepła, chociaż o wiele wolniej.

Doświadczenie. Eter, wylany na miseczkę, zniknie z niej w kilka minut, gdyż przy zwyczajnem cieple powietrza przemienia się w parę i ulatnia.

Podobnież wody, wystawionej w naczyniu na działanie powietrza, ubywa codziennie; mokra bielizna schnie; woda deszczowa, stojąca na ulicach, znika tem prędzej, im cieplejsze jest powietrze. Ulatnianie się ciał płynnych na wolnem powietrzu daleko wolniej się odbywa, niż przy gotowaniu, i zawsze bez tworzenia bąbelków parowych. Taką, często niewidzialną parę, zowiemy wyziewami.

Ciepłe powietrze przyjmuje w siebie więcej wyziewów, niż zimne, jednakże może ich tylko pewną ilość w sobie pomieścić.

Większe ciepło i przewiew powietrza, czyli wiatr, przyspieszają ulatnianie się wyziewów. Dla tego rola osycha prędzej, gdy po deszczu wiatr nastąpi; dla tego też koniecznie jest potrzebnem, aby w każdej suszarni był znaczny przewiew powietrza.

Mgły i chmury.

W wyżej opisany sposób wznoszą się z mórz i rzek, jako też i z każdej innej mokrej powierzchni, wielkie masy wyziewów wodnych i napełniają powietrze.

Doświadczenie. Zagotowawszy wodę w naczyniu, widzimy, iż wiele jej ubywa. Przypatrując się jednak w bliskości naczynia gotującej się wodzie, nie widzimy z początku wznoszącej się nad niem pary, dopókąd bowiem para złączona jest z bardzo wysokiem ciepłem, jest zupełnie przezroczystą i niewidzialną. Ztąd też powietrze może w sobie zatrzymać wielką ilość wyziewów wodnych, chociaż my ich nie spostrzegamy. Im jednakże więcej oddala się para od naczynia, w którem się gotuje woda, tym więcej traci ciepła, ochładza się i tworzy widzialną dla nas parę, która się składa z drobniuchnych bąbelków, podobnych do mydlanych bąbli.

Tem samem, czem para, są wyziewy wodne, które ludzie i zwierzęta wydają z siebie przez oddech, a które w zimnym pokoju, gdy oddychamy, widzieć można; tem samem są także w ogromnych rozmiarach mgły i chmury.

Z jeziór, rzek i bagnisk wznoszą się wodne wyziewy. Gdy powietrze jest zimniejsze, niż ulatniająca się woda, to oziębiają się te wyziewy tuż nad powierzchnią ziemi i tworzą mgłę; jeżeli zaś wznoszące się wyziewy dopiero w wyższych warstwach powietrza ziębną, wtedy tworzą chmury. Mgły są to chmury leżące na powierzchni ziemi; chmury są to mgły utworzone w wyższych warstwach powietrza. Mieszkańcy dolin widzą często szczyty gór gęstemi osłonione chmurami; podróżujący po wysokich górach często przez mgłę przechodzi.

Często widzimy białe, drobniuchne chmurki, podobne do piany, przesuwające się po modrym niebios przestworze; te unoszą się najwyżej nad ziemią i powstają zwykle najprzód po kilkudniowej pogodzie. Ciemne szare chmury, które widzimy często wznoszące się w kształcie półkuli na widnokręgu, są to wyziewy wodniste, które tego poranku przez wznoszący się wiatr zawiane zostały w zimniejsze okolice, i tam się oziębiły. Lecz te chmury, spuściwszy się w cieplejsze sfery, tracą swój kształt i stają się znów niewidzialnemi. Chmury po-

*) Czytaj: Reomira.

kładowe odznaczają się przy zachodzie słońca przepychem kolorytu. Chmury deszczowe mają zwykle kolor ciemnomodry.

Rosa i śron.

Doświadczenie. Nalawszy w czyste szklane naczynie świeżej studziennej wody, widzimy, iż naczynie znacznie się oziębiło; znajdujące się w tym pokoju części wodorodu, wydane przez oddech ludzki, oziębiają się także, zgęszczają się i osadzają na szklance. Mówimy wtenczas, że szklanka potnieje. Tak samo gdy w zimie przyniesiemy szklankę z zimnego do ciepłego pokoju, osiada na niej ostudzona i zgęszczona para jako rosa. Podobnie zupełnie potnieją szyby, gdy na nie chuchamy, a na dworze jest zimno.

W ten sam sposób powstaje rosa. Gdy po skwarnym dniu nastąpi chłodny wieczór, wychodząca z ziemi para ostudza się, zgęszcza i osiada na końcach listków, trawy, kwiatów, zboża, jako drobne kropelki wody, które rosą nazywamy. W jesieni zaś i na spozimku, gdy ciepła nie masz na powierzchni ziemi, rosa marznie i zamienia się w drobne igiełki, które nazywamy śronem.

Deszcz.

Gdy chmura dosięgnie do zimniejszych, lub wilgotniejszych warstw powietrza, wtenczas zgęszczają się jej wodniste bąbelki. Wyziewy wodniste, znajdujące się w masie powietrza, otaczają chmurę, przyczepiają się do jej bąbelków, zwiększone tworzą krople, które jako deszcz spływają z obłoków. Te z początku małe kropelki rosną w drodze, ostudzając powietrze, przez które płyną, i przyciągając do siebie znajdujące się w niem cząsteczki wody. W lecie, zwłaszcza podczas burzy, spadają krople deszczu z większej wysokości, więc, wzrastając ciągle w drodze, spadają daleko większe niż w jesieni, gdzie chmury deszczowe czasem bardzo nizko nad ziemią się unoszą. Podług wielkości kropli rozróżniamy deszcz ulewny, lub drobny.

Ponieważ deszcz powstaje tylko z wyziewów wodnych, jest więc deszczowa woda zwykle czysta, gdyż z żadnemi innemi ciałami nie zmięszana.

Śnieg.

Zimową porą, przy znacznem oziębieniu powietrza, przemieniają się wyziewy wodne w cieplejszych okolicach, w parę a do zimniejszych przygnane, w chmury, złożone ze zmarzłych gwiazdeczek, które przez ciągłe przyczepianie się do nich cząstek wodnych coraz się zwiększają, aż nakoniec jako płatki śniegu na ziemię spadają. W krajach najbardziej na północ leżących, a mających klimat suchy, pada śnieg tak drobny, jak ziarnka piasku.

Śnieg dla swej lekkości spada z obłoków bardzo wolno, prawie tak jak pierze, i wydaje potem w stósunku do wielkiej przestrzeni, jaką zajmuje, bardzo mało wody. Przypatrując się płatkowi śniegu przez szkło powiększające, widzimy, że tworzy najrozmaitsze regularne figury, jako to: cienkie nitki, kółka, gwiazdki i włókna.

Grad.

Grad pada najczęściej podczas gorących dni latowych; czasem w jesieni lub wiośnie, rzadko w nocy. Zwykle spadają ziarnka gradu podczas burzy, i to z ciemnych, czerwonawych chmur. Składają się one z nieprzezroczystego ziarnka lodu, otoczonego przezroczystą powłoką. Te ziarnka czepiają się jedne drugich i często formują wielkie kawały, które spadając ze znacznej wysokości, wielkie nieraz zrządzają szkody, gdyż wybijają zboża, łamią dachy, tłuką okna, a nawet zabijają zwierzęta i ludzi. W wiośnie i jesieni pada tylko drobny grad, gdyż wyziewy z ziemi nie mogą się w tych porach roku wznosić tak obficie i tak wysoko, jak w lecie. Grad jest więc zmarzłym deszczem; lecz dotychczas nie zdołano dociec, jakim sposobem powstaje w lecie w wyższych warstwach powietrza tyle zimna, że owe krople deszczu zmarznąć tam mogą. W każ-

dym razie na tworzenie się jego niemały wpływ wywiera elektryczność.

Ogólne uwagi nad wodą.

Zważywszy te wszystkie przemiany, którym podlega woda, podziwać nam tylko trzeba jej dziwny obieg po całym przestworze nad naszą kulą ziemską. Zmieniona przez ciepło w niedostrzeżone oku naszemu wyziewy, wznosi się wysoko nad ziemię, zamienia się w bąbelki wodne, spada znów w tej postaci nie pozostaje długo, lecz ulatnia się w górę.

Woda na kuli ziemskiej w trzech znachodzi się stanach: 1) w stanie płynnym, 2) w stanie pary, 3) w stanie lodu.

W stanie płynnym jest woda przejrzystą, bezbarwną; nie ma, jeżeli jest czystą, żadnego smaku ni zapachu, przesiąka rozmaite ciała i jest koniecznie potrzebna do istnienia wszystkich ciał organicznych.*) Zatrzymana przez jakiekolwiek przeszkody w swym biegu, niszczy wszystko, co jej na przeszkodzie staje, rozrywa najmocniejsze mosty i tamy, obala domy, wyrywa drzewa z korzeniami, sprawia największe szkody.

Gdy woda jest pod wpływem zimna, wtenczas marznie, czyli że jej części tęgną i niejako zrastają się z sobą, przemienia się w lód, po którym można chodzić, jak po ziemi. W tej zmianie zwiększa się jej objętość; zkąd pochodzi, że zamknięte naczynia, w których woda zamarzła, pękają.

W stanie pary woda znacznie się rozciąga i staje się płynem nader elastycznym, który przez ciepło tak się rozszerza, że zajmuje 14,000 razy tyle przestrzeni, ile zajmowała woda w stanie płynnym.

*) Wszystkie zwierzęta i rośliny liczymy do ciał organicznych, ponieważ rośliny mają organy, czyli narzędzia, do wciągania w siebie pożywienia potrzebnego im do życia, a zwierzęta nadto organy ruchu i czucia.

ZŁOTE MYŚLI.

Napisał F. W.

Słońce wszystkim zarówno świeci, lecz nie wszyscy zarówno światła używają. — Także Duch święty oświeca wszystkich zarówno, lecz wielu, bardzo wielu gardzi tem światłem; są to ci, którzy wolą, aby zawsze noc była. Dla tego się nazywają synami ciemności

* * *

Wszyscy, co przykładają cegłę do cegły, wielki dom wystawią. Także wszyscy, co bieżą z stopnia na stopień, — doskonałymi będą w prawdzie Bożej. Nieszczęśliwi ci, co dziś umyślili, a jutro wystawili; oto ci wszyscy piaskiem budują, a wiatrem podsypują.

* * *

Potrzeba nam być takimi, jakimi chcemy, aby inni byli.

* * *

Człowiek tak nieszczęściu jak i śmierci nie ujdzie; — bądźmy gotowi na każde zawołanie Pańskie.

* * *

Komu dano prawo, niech mówi; komu wagę, niech waży; komu pióro, niech pisze; komu miecz, niech strzeże i t. d. Niechaj nikt nie zazdrości innym honorów.

* * *

Nie pogardzaj dzisiaj bliźnim twoim: że ubogi, że popadł w błąd; nie pewnyś, czy jutro dziesięciu mówić o tobie będzie. Człowiek roztropny nie zważa na obce, tylko na swoje czyny.

* * *

Jeszcze nikt nie żałował, kto wiele słuchał, a mało mówił. Język nasz ostrzymy wielą słowami; a wiadomo nam, że z ostrem narzędziem niebezpiecznie nam zawsze i wszędzie.

* * *

Złoto, złotem będzie; rdza, która nań osiędzie, nie popsuje wnętrza jego. Ludzie sprawiedliwi zawsze przyjemni Bogu, choć świat obrzuca ich błotem.

* * *

Kto oko ma skażone, skażone ma i serce; albowiem oczy i uszy są drzwiami grzechu każdego człowieka.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Niektóre łatwe środki lecznicze** które poleca sławny lekarz amerykański Dr. Hall:

Sól. Pół łyżeczki zwyczajnej kuchennej soli rozpuszczonej w małej ilości zimnej wody uśmierza natychmiast cierpienia żołądkowe i palenie zgagi.

Jeżeli ilość soli się codziennie powiększa aż się dojdzie do pełnej łyżeczki a wody do kwaterki i to się codziennie naczczo przed śniadaniem zażywa, to przez dni kilka i to można się pozbyć wszelkich cierpień żołądkowych, przestrzegając przy tem zażywaniu tego środka, aby nic nie zjeść szkodliwego. Nie ma też lepszego środka na zapieczenie jak powyższy.

Przy bolu gardła płukanie słoną wodą, jest tak skuteczne jak Chlorkalium a zupełnie nie szkodliwe.

W przypadkach zatrucia, zadana sól od jednej do czterech łyżeczek w kwaterce do pół kwarty wody ciepłej rozpuszczona jest skutecznem lekarstwem do sprowadzenia wymiotów. Jest także wybornym środkiem przy ukąszeniu przez owady; zatrzymuje upływ krwi szczególniej przy rwaniu zębów. Jest też i dobrze skutkującym środkiem na zewnętrzne wrzody.

Gorczyca. Równa część mąki gorczycznej ze zwyczajną mąką, rozrzedzona na ciasto ciepłą wodą i tą masą posmarowany płatek muślinu i drugim płatkiem przykryty, tworzy plaster gorczyczany. Przy kolkach działa bardzo dobrze, gdy się na parę minut na dołyszek położy. Na wszystkie bóle zewnętrzne nie ma środka więcej skutkującego jak ten; położony na miejsce cierpiące, wyciąga krew na powierzchnią i przez to zapobiega rozszerzeniu się choroby.

Gdy dzieci na silny krup zapadną, dobrze jest mały plaster dziecku na kręgi (Nacken) położyć. Plaster taki trzeba częściej zmieniać, bo inaczej łatwo się rana na skórze zrobi i skutkuje dobrze chociaż w niejakiem oddaleniu od chorego miejsca jest położony.

Tak samo skutkuje papier gorczyczany, który się łatwo da przechować; papier taki kładzie się na minutę do wody i przylepia na chore miejsce.

Papier taki w każdej aptece nabyć można.

Czyszczona Soda (Doppelkohlensaures Natron) lub też zwyczajna soda, jest bardzo dobrym środkiem na oparzenie, można jej użyć w proszku, lub też rozpuszczonej. Jeżeli się środka tego użyje natychmiast, to skutek jest zadziwiający.

Przy zaziębieniu, wystraszeniu się, zmęczeniu pół łyżeczki czyszczonej sody w kieliszku wody rozpuszczonej i z niej co trzy godziny jeden łyk zażyty prędko uspokaja cierpienie.

— **Własności lecznicze poziomek.** Zdaniem niektórych uczonych, poziomki oprócz wybornego smaku i zapachu, posiadają jeszcze wielkie własności lecznicze. Linneusz pisze, że im zawdzięcza wyleczenie się z pedogry, na którą bardzo cierpiał. Raz podczas ataku choroby zjadł ogromną ilość poziomek: spał całą noc i nazajutrz mógł zabrać się do pracy, którą od dwóch tygodni porzucił. W następnych latach wróciła pedogra, ale Linneusz użył tego samego środka i odtąd przez lat dwadzieścia nie miał ani jednego ataku. Nietylko ustały cierpienia ale rozeszły się twarde guzy, utworzone w stawach skutkiem choroby. Poziomki mają też być dobrem lekarstwem na kamienie żółciowe. Van Sietwen utrzymuje, że można wyleczyć obłąkanych, dając im przez kilka tygodni znaczną ilość poziomek do zjedzenia. Hoffmann i Schulz twierdzą, że tym sposobem uzdrawiali nieraz suchotników. Własności lecznicze poziomek musiały być znane już w starożytności, gdyż Apuleusz poleca owoc ten, rozgnieciony z miodem, jako wyborny środek na choroby śledziony.

— **Wino musujące ze świętojanek.** Rozgniecone świętojanki kładzie się do beczułki, dodając na dwa funty porzeczek ośm łutów cukru, rozpuszczonego w 50 gr. wody. Po pierwszej gwałtownej fermentacyi, trzeba ściągnąć płyn do mniejszych naczyń, dopełnić i odstawić, nie korkując, lecz przykrywając otwór płótnem. Po dwóch lub trzech miesiącach można przeklarować i ściągnąć do butelek.

Zasilanie pszczół i zabezpieczanie ich zdrowia.

Tegorocznej wiosny, zmiennej i chłodnej, wyginęło takie mnóstwo pszczół robotnic, że po miejskich pasiekach widać na plastrach sam prawie czerw' z bardzo małą ilością muchy, i to najwięcej młodej, świeżo wylęgłej. Zastanawiając się nad tem, dlaczego tak wiele pszczół ginie w pasiekach miejskich, przekonaliśmy się, że to się dzieje skutkiem dymu z węgla kamiennego, który jest dla pszczół wielce szkodliwy. Czasami pszczoła leci obessana miodem lub obciążona pyłkiem i zdaje się, że jest zupełnie zdrowa; wtem niewiedzieć dlaczego pada bezwładnie na ziemię i nie może już podlecieć. Zdarza się to najczęściej w chłodne i wilgotne dnie, kiedy dym z węgla kamiennego ściele się między murami lub drzewami sadów. Z tego widać, że niedobrze jest bardzo utrzymywać pszczoły w miejscach zadymionych, przy fabrykach, cegielniach i tym podobnych zakładach. Pasieki trzeba ustawiać w miejscach o ile można zacisznych, gdzie powietrze powinno być jak najczystsze, nie zarażone żadnemi cuchnącemi odpadkami, jak to bywa naprzykład w pobliżu garbarni, krochmalni a nawet cukrowni. Gdzie powietrze jest cuchnące lub zadymione, tam pszczołom dokucza zgnilec.

Zwiedzając pasieki ku końcowi maja, znaleźliśmy, że w ogrodach czereśniowych cokol-

wiek oddalonych od miasta, roje silnie obsiadały plastry gniazdowe w ulach ramowych i pobudowały już w dwóch ramkach po pół plastra świeżej woszczyny; w miejscowościach zaś bardziej oddalonych od miast fabrycznych pszczoły były jeszcze silniejsze i obok gniazd zaczerwionych pobudowały już po kilka plastrów świeżych, i miodu sporo się przeświecało, tak, że trzeba już gniazda odsuwać od przodu ula ramowego i dodawać więcej początków, aby powstrzymywać chęć rójki i napędzać do pracy. Nie tak się działo w pasiekach położonych między murami miast. Tu pszczoły ledwie okrywały małe gniazda zimowe, a z niektórych uli wypadło ujmować plastrów, a nawet zasilać gotową muchą. W wielu pasiekach siedziały jeszcze w ulach roje różnej wielkości, a w bardziej zaniedbanych było dużo rojów słabych, to jest małomusznych, i takie trzeba było czemprędzej zasilać.

Zasilanie słabych rojów na wiosnę jest konieczne, bo gospodarka wtedy tylko dobrze pójdzie, jeżeli w Czerwcu przed miodobraniem wszystkie roje będą mniej więcej równej wielkości. Zobaczmyż, w jaki sposób najlepiej to robić.

Niektórzy pszczelarze radzą zasilać słaby rój przez dodanie czerwiu, inni znów przywykli przestawiać ule, to jest silny na miejscu małomusznego, żeby same pszczoły, latając do cudzego ula, roje wyrównały. Otóż taka robota na nic się nie zda, a nawet bywa nieraz bardzo szkodliwa. Jeżeli naprzykład rój jest małomuszny dlatego, że ma złą matkę, albo że zgnilec trapi pszczoły, to dodanie takiemu samego czerwiu na razie nic nie pomoże, bo małomuszny rój może go nie obsiąść, więc czerw' się zaziębi i gotowa zgnilizna. Dodawanie gotowej muchy, czy to młodej, nazbieranej z innych uli, czy też zwabionej przez przestawienie ula, także na nic się nie zda, bo silne i zdrowe roje osłabia, a nędzne, ze złemi matkami, albo ze zgnilcem, choćby chwilowo wspomogło, to zawsze później będzie znowu źle. Przez przestawianie uli zaraża się zwykle inne roje; nadto zdarza się, że obce pszczoły, nalatujące do ula, zabijają matkę i same bardzo często się ścinają, zwłaszcza gdy pszczoła z małomusznego roju przyleci do silniejszego.

Otóż pszczelarze powinni zarzucić tamte sposoby, a trzymać się następujących wskazówek: Skoro się znajdzie rój małomuszny, nie przychodzący do sił, trzeba go dobrze zbadać i przekonać się, czego mu brakuje. Jeżeli tylko matka jest zła, a zgnilca niema, to wypadnie ją usunąć i zasilić rój odrazu nietylko dodaniem samego czerwiu dojrzałego, ale i sporą ilością gotowej młodej muchy nazbieranej z innych uli. Gdyby się zaś zauważyło w małomusznym roju porozrzucany młody czerw' pstrokaty, a więc zakażony zgnilcem, albo tembardziej zamarłe i popsute robaczki, to już takiego roju w żaden sposób niemożna naprawiać przez zasilanie, ale natychmiast poznaczać w pasiece wszystkie takie nędzne, podejrzane roje, wieczorem wywieźć je o parę wiorst na nowe miejsce, tam dla zasilenia połączyć je choćby po trzy i cztery razem i przesadzić do uli dobrze oczyszczonych.

Kto by sobie te wskazówki i postępowanie takie lekceważył, ten będzie zawsze robił głupstwa



Doświadczenie chemiczne.

Często przy doświadczeniach chemicznych, a nawet w pracowniach rzemieślniczych przy obrabianiu metali, potrzebne jest ciepło o wiele silniejsze od tego, jakie nam dać może lampka spirytusowa, a nawet płomień węgla lub drzewa. W takich razach podnieca się sztucznie temperaturę tegoż płomienia. Do lampki spirytusowej używamy w tym celu narzędzia zwanego dmuchawką. Rycina powyższa wskazuje nam łatwy sposób urządzenia takowej ze zwyczajnej glinianej fajeczki. Aby się przekonać o ile płomień, na który się dmucha z takiej dmuchawki jest silniejszy od zwyczajnego, zróbmy doświadczenie z opiłkami żelaza. Jeżeli potrzymamy owe opiłki nad zwyczajnym płomieniem świecy lub lampki, przekonamy się, że można je rozgrzać nawet do czerwoności, ale stopić ich nie potrafimy. Żelazo bowiem potrzebuje 1500 do 1600° by mogło ze stanu stałego przejść w stan płynny, czyli stopić się. Gdy jednak na płomień świecy dmuchać będziemy przez ową dmuchawkę, lub naszą glinianą fajeczkę, wtedy zobaczymy, że owe opiłki rozpalają się aż do białości i następnie topniejąc, zlać się mogą w jedną masę.

w pasiece i w końcu nietylko straci własne pszczoły, ale jeszcze rozszerzy chorobę wśród sąsiednich pasiek. Jeżeli prawo każe wybijać bydło chore na księgosusz, to pszczelarze powinni również starać się wspólnie o to, żeby właściciele pasiek zakażonych zgnilcem zmuszeni byli oczyszczać lub niszczyć chore roje.

Rozmaitości.

* **Domy z cukru.** Niejeden zapewne z młodszych naszych czytelników, tych zwłaszcza co lubią słodycze — marzył sobie nieraz, jakbyto dobrze było, gdyby domy budowano z podobnych przysmaków, bo w każdej chwili możnaby ułamać i zjeść kawałek ściany. Marzenie to niedościgłe na pozór, spełnia się do pewnego stopnia na drugiej półkuli świata. Jeden z najzamożniejszych fabrykantów cukru w Stanach Zjednoczonych, zamieszkały w Waszyngtonie, wykupił w tych czasach patent na wyrób cukru, który przy budowie gmachów i pomników, zastąpić ma biały marmur. Przemysłowcowi temu udało się podobno wyrabiać cukier o wiele twardszy i bielszy od najlepszego marmuru, a odporność nowego ciała na wpływy powietrza ma być większą, niż w jakimkolwiekbądź ze znanych dotąd materyałów budowlanych. Wynalazca zamierza na własny koszt z nowego materyału wznieść budynek obok Białego domu w Waszyngtonie. (»Białym domem« nazywa się pałac prezydenta).

* **Ciekawość indyków** jest rzeczą znaną, a niedawno oddała niemałą usługę. Kardynał arcybiskup Ołomuńca, hr. Fürstenberg, podczas przechadzki w okolicach zamku swego, zgubił swój pierścień biskupi. Arcybiskup na razie nie spostrzegł zguby, zauważył ją dopiero później i wnet zarządził jak najściślejsze poszukiwania, ale okazały się one daremnemi. Przetrząśnięto wszystkie pokoje, lecz napróżno. W kilka dni później, zauważono szczególne zachowanie się indyków domowych. Zbierały się one codziennie na pewnym punkcie przeznaczonego dla nich trawnika, i z trudnością pozwalały się ztamtąd odpędzać. Stały kołem, wpatrzone w ziemię, nawołując się głośno wzajemnie. W końcu jeden z lokajów arcybiskupa zauważył także te sejmy indycze, a zaciekawiony wsunął się między skrzydlate grono i odkrył na trawie iskrzący się pierścień, który budził takie zajęcie w indykach. Arcybiskupa bardzo rozweseliły szczegóły znalezienia klejnotu.

* **Jak dawno znany jest sposób przechowywania lodu?** Już w głębokiej starożytności umiano przechowywać lód i śnieg dla oziębiania napojów. Salomon wspomina o tem w swoich księgach. Historyk Arrien powiada o Aleksandrze Wielkim, że podczas oblężenia miasta Petra, w Indyach, kazał wykopać trzydzieści głębokich studzien, napełnić je śniegiem i przykryć gałęźmi, przez co śnieg bardzo długo się przechował. Plutarch naucza, że można długo przechować śnieg i lód, pokrywając je słomą i grubemi tkaninami. Podczas cesarstwa rzymskiego napoje sztucznie chłodzone były bardzo używane; w tym celu służył nietylko śnieg i lód, częstokroć sprowadzony z gór, ale posługiwano się także wodą wystawianą na silny przeciąg powietrza, a przedtem rozgrzaną. Linneusz przypisuje ten pomysł jednemu z ulubieńców Nerona, ale znany on był już Hippokratesowi i Arystotelesowi. Galen opowiada, że nietylko w Grecyi i we Włoszech, ale w Egipcie i Syryi w następujący sposób oziębiano wodę: zagotowaną poprzednio wystawiano na noc w otwartem oknie, przed wschodem słońca stawiono naczynia w cieniu, zwilżano je i okrywano słomą albo liśćmi; woda przez cały dzień była chłodna.

* **Czy istnieją ptaki o czterech nogach?** Jedynym gatunkiem ptaka o czterech nogach jest Opisthocomus Cristatus, żyjący na wyspie Marajo, na niższej Amazonce. Niepodobna go zaliczyć do żadnego ze znanych gatunków; prawdopodobnie należy do rodzaju ptaków dawno zaginionych. Przednie nogi odpadają mu jednak wkrótce po wykluciu. Mięso jego ma woń nader nieprzyjemną, wskutek czego omijają go ludzie i dzikie zwierzęta.

* **Czy można oślepnąć od światła księżyca?** Blask księżyca może być równie szkodliwy dla oczu jak promienie słoneczne, więc we śnie i podczas czuwania trzeba go unikać. Marynarze wiedzą o tem i śpią zawsze w ten sposób, żeby księżyc nie świecił im w oczy; mimo to wielu z nich po dłuższym pobycie w krajach podzwrotnikowych dostaje kurzej ślepoty, w skutek długiego czuwania na pokładzie w noc księżycową. Wypadki utraty wzroku, z powodu silnych promieni księżyca, nieraz zdarzają się w Indyach. Arabowie na pustyni, zanim udadzą się na spoczynek, starannie osłaniają twarz i oczy, ażeby uniknąć wpływu księżyca.

ŻARTY.

Powoli.

A.: Widzę, że pan pije piwo a przecie pan powiedział, że pan chce używanie trunków ze swojej rodziny całkiem wykorzenić?

B.: Prawda, ale nie naraz, lecz powoli i do tego też dążę. Mój ojciec pijał wino, ja piję piwo, a moje dzieci już tylko wodę.

Ze szkoły.

W pewnej szkole zabrakło w ławkach miejsca dla najmniejszych dzieci; musiały tedy usiąść tymczasem na ziemi.

Pewnego dnia podczas nauki religii zapytał się nauczyciel jedno z tychże dzieci:

— Powiedz mi, na co jesteś na ziemi?

— Bo w ławce miejsca nie ma — brzmiała odpowiedź.

Prawda.

Nauczyciel: Józefek! Możesz mi powiedzieć, kiedy brzmiały trąby Jerychońskie?

Uczeń: Wtedy, gdy w nie trąbili.

W menażeryi.

Egzekutor (zastaje właściciela menażeryi w klatce między gryzącymi się lwami): W imię prawa mam pana natychmiast sfantować.

Właściciel menażeryi: Bar-

dzo proszę wejść między lwy i jednego z nich aresztem obłożyć albo mu paszczękę opieczętować.

Odpowiedź redakcyi.

Objaśnienia o rozwiązywaniu rebusów podamy w przyszłym numerze.

Treść zeszytu 14 „Światła":

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu G.-Sz.